

**Małgorzata Domagalska**

*Łódź*

**Mira Krum-Ledowska**

*Tel Awiw*

**LOS.**

**Z MIRĄ KRUM-LEDOWSKĄ ROZMAWIA  
MAŁGORZATA DOMAGALSKA**

**Małgorzata Domagalska [MD]:** Mam niebywałą przyjemność (chyba wszyscy mamy) gościć tutaj, co prawda *online*, panią Mirę Krum-Ledowską, która w tej chwili jest w Tel Awiwie. Odyseja do tego Tel Awiwu trochę trwała i postaram się o niej najpierw kilka słów powiedzieć, bo profesor Ławski sobie zażyczył, żebym zrobiła krótkie wprowadzenie, a potem już będziemy rozmawiać z Mirą. Pomyślałam, że dzisiaj spróbujemy porozmawiać przez pryzmat Twoich imion i tożsamości.

Zacznijmy od tego, że Mira urodziła się w Tłumaczu, czyli w dzisiejszej Ukrainie w 1937 r. Ten rok 1937 to był piękny rok. Adela z domu Hartenstein i Lazar Krum spodziewali się swojego pierwszego dziecka, czyli właśnie Miry, która przyszła na świat w sierpniu 1937 r. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że dwa lata później wybuchła wojna i przyszli Sowieci. Na zdjęciu<sup>1</sup> zobaczycie Państwo babcię Annę z domu Haber i dziadka Henryka Hermana Hartensteina. I dlatego Mira została w początkach swojego żywota Herminą. Spędziła swoje szczęśliwe dzieciństwo w Tłumaczu.

Jak Państwo widzicie, była wtedy ukochaną Misiunią, pierwszą wnuczką państwa Hartensteinów i pierwszym dzieckiem swoich rodziców. Tutaj pokazana jest jako rozkoszny bobas. Te zdjęcia ocalały. Może później Mira powie, jak one ocalały, i to życie w Tłumaczu trwało do 1939, a właściwie do 1941 r., kiedy weszli Niemcy. Tutaj mamy dalsze zdjęcia z Tłumacza. Z ukochanym psem Luxem, o którym też powiemy. Później, kiedy weszli Niemcy, rodzina ukrywała się w getcie w Tłumaczu. Z kolei ukrywała się w młynie pana Jana Dwolińskiego, następnie u pani Antoniny Działoszyńskiej we wsi Puźniki.

Po wojnie mama Adela z Mirą, a właściwie z Marysią Kowalik, znalazły się w Monasterzyskach. Następnie zostały repatriowane do Jeleniej Góry, a stąd

---

<sup>1</sup> Prezentacji niniejszego tekstu towarzyszył pokaz zdjęć z archiwum Miry Krum-Ledowskiej. Zdjęcia rodzinne pani Miry Krum-Ledowskiej prezentujemy po zapisie rozmowy z nią.

przeniosły się do Wrocławia. W 1957 r., tak jak i pani Renata Jabłońska, wyemigrowały do Izraela na skutek wielu incydentów antysemitycznych. Tutaj na fotografii jest Marysia z mamą Adą w Jeleniej Górze przy ulicy Kącik 1. Dalej we Wrocławiu. Następnie zdjęcie maturalne jeszcze z Polski z 1955 r., po maturze Mira rozpoczęła studia na wrocławskiej polonistyce. Była tam rok. Tu jeden z ukończonych jej braci, czyli Romek. I tutaj Mira przed wyjazdem z Polski.

W 1957 r. – jak powiedziałam – wyemigrowały do Izraela. To jest mama Adela już w Izraelu. I to wówczas Marysia stała się Miriam Krum. I znalazła się, tak jak inni Izraelczycy, w armii izraelskiej. Tutaj Mira w bardziej swobodnym wydaniu na plaży w Tel Awiwie i jeszcze kolejne piękne zdjęcia Miry z tego okresu.

Mira skończyła hebraystykę, czyli literaturę hebrajską na Uniwersytecie w Tel Awiwie i pracowała przez wiele lat jako nauczycielka, o czym nam pewnie opowie. Od 1996 r. związana była z Yad Vashem, tam opowiadała o historii swojej i o tym, co przeżyła jej rodzina. Później związała się z Moreszet, czyli z organizacją, która również zajmuje się pamięcią. Trzeba podkreślić, że od 2000 r., tj. od początku, współpracuje z Instytutem Polskim w Tel Awiwie i wciąż uczy języka polskiego. Nadal ma swoich studentów i wielu badaczy problematyki polsko-żydowskiej Mirze niemało zawdzięcza.

Proszę Państwa, w ostatnim okresie Mira została pisarką i wydała dwa tomy opowiadań. Kolejne zdjęcie. Pisarka i ten przystojny mężczyzna: to Broniek Ledowski, ocalony z łódzkiego getta, który popadł w afekt ku Mirze w księgarni Neusteinów. Broniek to jest też osobna historia do opowiedzenia, wyjątkowy erudyta, zakochany w literaturze polskiej. Trafił na byłą studentkę polonistyki. Mira jest dzisiaj naszym gościem. Właśnie tutaj na zdjęciu jest księgarnia Neusteinów w 2007 r. I jeszcze zdjęcie zrobione w 2022 r. we Wrocławiu. No i roześmiana Mira w Tel Awiwie. Wracamy teraz do naszej rozmowy...

\*

**[MD] Miro, skoro jesteśmy przy Twojej tożsamości. Zacznijmy od Herminy. Urodziłaś się w 1937 r. Opowiedz coś o swojej rodzinie – tutaj na zdjęciu widzimy babcię Annę i dziadka. Oni wyglądają na Żydów bardzo zasymilowanych, są w nowoczesnych ubraniach. Jak to było?**

**Mira Krum-Ledowska [MKL]:** To była bardzo dziwna rodzina. Matki rodzina była od drugiego pokolenia zasymilowana. Mama, jej bracia i siostry chodzili do polskiego gimnazjum. Językiem domowym był polski. Nie sądzę, żeby któreś z dziadków znało żydowski. Tradycję traktowali swobodnie. Bułeczka z masłem, szyneczką jak należy, czyli sami rozumiecie, że o koszerności w tym domu mowy nie było. Ale nie wiem, jak to się stało, że mój ojciec także się zasymilował; jak widzicie żadnego zdjęcia nie mam, bo nic nie ocalało. I prawdopodobnie z całej jego rodziny ocalał tylko jeden brat, który pozostał jako Ukrainiec w Monasterzyskach do teraz, jeśli wciąż żyje. Rodzina była religijna,

tn. niereligijna ortodoksyjna. Niemniej ponoć babcia chodziła w peruce, tak mi mama powiedziała. Mimo wszystko, ojciec porzuca to wszystko i przechodzi do rodziny tzw. kofrim. Kofrim to znaczy ludzie, którzy zaprzeczają wszelkim regułom religijnym i żyją jak jacyś zbereźnicy, jedzą szynkę, jeżdżą w sobotę. Nie wiem, jak to się stało, najwidoczniej zakochał w się mamie. Jak to się mówi po hebrajsku, „machast”, czyli ciężko. Jeśli się zgodził pójść z domu religijnego, koszernego do takiego domu, gdzie się takie straszne rzeczy jada i tak strasznie zachowuje, to musiał być piekielnie zakochany. Podobno był bardzo przystojny i pamiętam tylko to, że był wysoki, bo jak mnie brał na ramiona, to sięgałam sufitu, ale to nie znaczy, że sufit był niski. To moje pojęcie o wysokości na tym fakcie jest zbudowane. Po przyjeździe do Izraela zdarzyła się bardzo śmieszna rzecz, już jako żołnierka pojechałam autostopem do Beer Szewy<sup>2</sup> bo usłyszałam, że tam jest rodzina z Tłumacza, która znała mojego ojca. Przyjeżdżam do tej restauracji, oni prowadzili małą restaurację. Przyjeżdżamy, a ta pani łapie mnie w ramiona. Ach, to ty jesteś tą Misiunią, córką, ty wiesz, jaki on był przystojny, Boże, jak się w nim kochałam. Tyle dowiedziałam się o moim ojcu, niczego więcej. Mama na te tematy w ogóle nie mówiła, odcięła wszystkie tematy rodzinno-wojenne. Miałam rosnąć jako zdrowa dziewczynka, która cieszy się życiem tak jak wszystkie inne dzieci i nie pamięta o przeszłości. Trochę trudne, ale nie wolno było o tym mówić.

**[MD] Miro, jak to się stało, że Twoja mama skończyła Seminarium Pedagogiczne Sióstr Notre Dame w Tłumaczu?**<sup>3</sup>

**[MKL]** W domu Hartensteinów było pięcioro dzieci, trzech chłopców i dwie dziewczyny. Najstarszy, czyli pierworodny Leon, Lonek, studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim. Nie dlatego, że chciał, bo już wtedy był *numerus clausus*, ale on chciał iść na politechnikę, jako że miał rzeczywiście takie zdolności, na przykład zbudował radio, kiedy nie mieliśmy pieniędzy na radio. Niemniej dostał się na prawo i studiował, a rodzina go utrzymywała. Kiedy moja mama zdała pięknie maturę, chciała iść na pedagogikę, też do Lwowa, ale pieniędzy w rodzinie już nie było, bo dziadek zmarł. Moja mama się nie umiała buntować w młodości, w każdym razie to, co można było zrobić, to poszła do Seminarium Sióstr Notre Dame, gdzie natychmiast stała się ulubienicą przełożonej, bo była bardzo dobrze wychowana i grzeczna, a poza tym miała talenty. Rysowała, robiła przepiękne koronki, miała wspaniałe podejście do małych dzieci. Kiedy skończyła Seminarium, to matka przełożona poszła z moją mamą do inspektora prosić, ażeby dostała pracę w szkole w Tłumaczu, gdyż ona musi pomagać rodzinie. Na co inspektor, który przedtem przyjął ją w lansadach i uśmiechach, popatrzył się surowo na matkę przełożoną i powiedział, że się bardzo dziwi, że dobra Polka,

<sup>2</sup> Beer Szewa – miasto na południu Izraela na pustyni Negew.

<sup>3</sup> Zgromadzenie Sióstr Szkolnych Notre Dame; prowadziły szkołę w Tłumaczu od 1922 r.

dobra katoliczka i w dodatku jeszcze przełożona w klasztorze Sióstr Notre Dame chce, żeby Żydówka uczyła polskie dzieci. Więc naturalnie nie uczyła. I pierwsza praca mojej mamy była już w tzw. czasach sowieckich, czyli w '44 roku, kiedy Rosjanie wyzwolili tamte tereny.

**[MD] Miro, kiedyś Cię zapytałam, jak to jest z pamięcią? Bo w '39 wchodzi Rosjanie, pewnie znasz to z opowieści, a później w '41 Niemcy. Czy coś pamiętasz, to znaczy które wydarzenie pamiętasz i czy ponadto znasz z opowieści, jak to wyglądało?**

**[MKL]** Przede wszystkim nie mogę powiedzieć, że pamiętam Niemców, ich wejście, lecz zajście, które było z tym związane, owszem. Rosjanie wyrzucili moich rodziców, kiedy miałam dwa lata, wyrzucili ich z własnego domu. Nie była to willa, tylko skromny dom, i wyrzucili, bo tam ktoś chciał zamieszkać, a my wylądowaliśmy u babci. Prawdziwy raj, to był dom zwariowanego dziadka, który co prawda był notariuszem, ale kochał rolnictwo, takie prawdziwe, nie pa-luszkiem ty zrobisz to, tylko własnymi rękami. Czuć ziemię, sadzić, widzieć, jak rośnie, no i jeszcze zaganiał do tego synów, córek nie zaganiał. Babcia miała mu bardzo za złe, że robi z nas rolników, ale to nas uratowało w końcowym rachunku. W każdym razie to był dom, gdzie wszystko pachniało. Wyroby mojej babci, drzewa, kwiaty, świeże jarzyny prosto z grządki, marcheweczka taka hop-hop, od razu pod studnię, myło się i jadło, dziś żadne supermarkety nie dostarczą takiego towaru. Czyli było to dzieciństwo pełne barw, smaków i wielkiej miłości, bo byłam pierwszą wnuczką, w dodatku mojej mamy, bracia uważali za stosowne rozpieszczać i rozwydrzać tę małą, wmawiali jej, że jest uroczą, kochaną, wspaniałą, najmiłszą. I jak chciała, to wsadzali na drzewo, a jak chciała, to na konia. No, życie było piękne, na bosaka mogłam prosto z łóżka, z Luxem, z psem dziadka, który stał się moim przyjacielem, od razu lecieć do ogrodu. Życie było naprawdę usłane miłością, dobrymi słowami. Ale wtedy moja mama wykryła, że kłamię. Zawołała mnie i nauczycielskim tonem powiedziała: Misiuniu, kłamiesz, chcę żebyś wiedziała, że jak dziecko kłamie, to z nosa wychodzi taki dymek, dziecko tego dymka nie widzi, lecz wszyscy naokoło wiedzą, że to kłamczuch. Wyobraźcie sobie, jak to ze mną szło przez okupację, kiedy musiałam kłamać, że jestem Marysią Kowalik. Wiecie, jak ja się bałam w kościele... Bo powiedzmy, że sąsiedzi mogą nie zobaczyć, bo się modliłam tak, że nos był zakryty i głowa do dołu. Modliłam się naprawdę, naprawdę potrzebowałam tego i modliłam się z całym przekonaniem. Ale co się robi w kościele? Przecież Pan Bóg widzi wszystko, a ja tu kłamię, że jestem Polką, że jestem Marysią, no i każda modlitwa jest kłamstwem. Może mnie natychmiast zabić, więc kościół był strasznie trudnym przeżyciem właśnie przez ten dymek. A potem skończyło się tym, że mój mąż mawiał: no tak, Mirka jest prawdziwa aż do głupoty, no tak, to prawda.

**[MD] Dobrze, wróćmy do Niemców, do Luxa, to był Twój ukochany przyjaciel, i wtedy weszli Niemcy...**

[MKL] Przede wszystkim jedyny minus: w domu dziadków nie było dzieci i nie było także w najbliższej okolicy, więc rzeczywiście moim jedynym przyjacielem był Lux. Tarmosiłam go, głaskałam go, on czekał na mnie, był kochany. I któregoś dnia, kiedy już Rosjanie opuścili Tłumacz... Muszę jeszcze dodać, że w domu babci na siłę na kwatere wpuścili jej, jak ona mówiła, kałmuka, Sowietą, prymitywa, który okazał się rzeźbiarzem, znającym niemiecki i niemiecką literaturę. W związku z tym babcia przytuliła go do łona i stał się członkiem rodziny. Kiedy Rosjanie opuszczali tenże dom, powiedział do mojej babci: Pani Anno, proszę wszystko zostawić, wziąć rodzinę i wsiąść w pociąg, który stoi na naszej stacji. Jedźcie do Rosji, będziecie biedne, będziecie głodne, będziecie chorowały, ale nikt was nie będzie rozstrzeliwał na ulicach. A moja babcia powiedziała: Phi, sowiecka propaganda – i naturalnie nie pojechała. Niemcy kulturalny naród. Babcia szybko pojechała do Bełżca<sup>4</sup> kulturalnym wagonem. Tak że to była wielka szkoda, ale dowiedziałam się potem, co to znaczy Niemiec i co to znaczy strach.

Któregoś dnia do furtki naszego ogrodu zadzwonił jakiś obcy facet, w mundurze. Lux pobiegł do niego, a ja blisko ogona zawsze się trzymałam, gdzie on idzie, tam i ja idę. No i ten facet dzwoni, a Lux zaczyna szczeleć. Zaczął szczeleć i w tym momencie facet wkłada rękę do kieszeni, tak myślałam, że do kabury, wyciąga rewolwer i zabija go, strzela do psa, ja jestem w odległości pół metra od jego głowy, czy coś takiego. Pies natychmiast pada zabity, kałuża krwi, i Lux leży, a ja stoję przestraszona tym strasznym hałasem. W tym momencie wychodzi babcia, rozjuszona, że ktoś nie bacząc na dziecko strzelił do jej psa. Człowiek z kulturalnego narodu, do jej psa, byłam naprawdę przestraszona hałasem, byłam przestraszona tą kałużą krwi i tym, że Lux już nie żył. Pierwszy raz widziałam śmierć, pierwszy raz widziałam krew i słyszałam strzał. To było przerażające wrażenie, a później Niemcy zażądali, żeby nie wychodzić za obręb naszego ogrodu i pola dziadków. Zostaniemy tam dłużej, babcia będzie dostarczała jedzenie do kwatery, bo słyszeli, że dobrze gotuje. Więc myśmy byli zamknięci i nie trzeba było mnie pilnować. Za płot nie wyszłam, siedziałam w ogrodzie, wszystko było bardzo pięknie jak dawniej, tylko nie wolno było nigdzie wychodzić. I nie trzeba było mnie pilnować, bo wiedziałam, co to znaczy krew i śmierć.

[MD] **Jak długo byliście poza gettem?**

[MKL] Prawie rok.

[MD] **Kiedy przenieśliście się do getta i jak to potem się stało, że tata czy mama powzięli decyzję o tym, żeby jednak ukryć się poza gettem? Jak wyglądała kwestia dokumentów?**

[MKL] Po pierwsze, rok w gospodarstwie babci różnił się tym od poprzednich, że babcia miała obowiązek dostarczać caluteńki nabią, mięsko kurze i tak

<sup>4</sup> Bełżec – niemiecki obóz zagłady w Bełżcu, funkcjonujący od marca 1942 do czerwca 1942 r. Zamordowano w nim ok. 450 tys. Żydów.

dalej, sery, przede wszystkim konfitury, owoce i codziennie świeży chleb, babcia piekła taki cudowny chleb! Czyli to wszystko trzeba było dostarczać, a dla mnie rodzice kradli mały kubeczek wszystkiego i to pamiętam, choć nie ma w tym logiki. Pamiętam ten kubeczek, nie pamiętam ojca. To przecież jest absolutny bezsens. Kubeczek był biały, miał zielony pas na środku, w środku było masło i kubeczek był pod łóżkiem. Po nakarmieniu dziecka wsuwało się to pod łóżko, bo gdy jakiś Niemiec wejdzie do mieszkania, to nie zobaczy, że kradną masło.

Aha, przedtem jeszcze Niemcy zrobili u babci małą wizytę, zabrali wszystko, to znaczy srebrne lichtarze. Moi dziadkowie nie byli bogaci, ale mimo wszystko mieli jakieś tam srebrne sztucce czy srebrne świeczniki. Przede wszystkim skrzypce Lonka, bo on grał na skrzypcach, zabrali skrzypce, zabrali nawet radiodetektor, który on zbudował. To śmieszne, bo to było bardzo prymitywne, ale oni wszystko, co można było zabrać, zabrali. I to było takie pierwsze: najpierw Lux, potem ta rewizja i zabieranie różnych rzeczy.

No i któregoś dnia, gdzieś po roku tego życia poza gettem i poza miastem przyjeżdża furmanka i mamy 15 minut i zabierają nas do getta. Ja nie pamiętam tej drogi, ale pamiętam, że wpakowali nas do pokoju, właściwie do kuchni. Duża kuchnia na pierwszym piętrze w domu dwupiętrowym, duża kuchnia. I wyobrażcie sobie: bieżąca woda, to było skarbem, dlatego że można było pić, ile się chce i nie trzeba było wychodzić z domu i narażać się, że ktoś cię przez przypadek zastrzeli. Czyli kuchnia, a w każdym rogu była inna rodzina, była czyjaś słoma i inna rodzina. Nasza rodzina to była babcia, czworo dzieci, ja z mamą i chyba ciocia już z mężem, siostra mojej mamy. Tu nie jestem pewna, w każdym razie w każdym rogu inna rodzina, wszyscy w jednym pokoju. Co jakiś czas, codziennie właściwie, nie pamiętam, czy rano, czy wieczór, przynosili chleb, chleb fatalny, zrobiony z przegniłych w magazynie worków zboża, śmierdzący. U mojej mamy nie wolno było powiedzieć śmierdzący, tylko: nieładnie pachnie. W związku z tym pierwsze dni mówiłam: Absolutnie nie będę tego jadła, a bo to fuj, nieładnie pachnie. A po trzech dniach zaczęłam jeść jak ta lala. W każdym razie głód był niemały, ale to nie było jeszcze najstraszniejsze. Najstraszniejsze były akcje, od czasu do czasu małe getta były likwidowane i część Żydów przewozili, a część Żydów od razu ładowali do wagonów, do Bełżca. I moja babcia, i córka z mężem, i żona Lonka, żona pierwszego, najstarszego brata, który się ożenił już w czasie wojny, też z dzieckiem, które się urodziło już w getcie, zginęli w Bełżcu. Myśmy zostali, babcię z córką i wnuczkiem zdjęli z ulicy, tak się mówiło: „zdjęli z ulicy”. A myśmy zostali i wtedy nastąpiła wielka akcja.

Mój ojciec, którego codziennie brali do robót, to był wysoki, silny, bardzo mocno zbudowany mężczyzna, nie był grubasem, ale był bardzo postawnym i robiącym wrażenie mężczyzną. Silnych Żydów brali do robót, bo wtedy budowano drogi w kierunku Rosji, ażeby z łatwością móc przesyłać posiłki, broń, czołgi. W każdym razie budowano drogi, a mój ojciec pracował przy budowie dróg i tam

dostawał dwie kromki chleba, nie jedną. Jedną przynosił tego fatalnego chleba, żebym nie głodowała, dla dziecka. On tam ze swoimi znajomymi postanowił, że ponieważ likwidacja się zbliżała, to zbudujemy skrytkę, nie skrytkę, tylko schron pod dachem tego domu, dach był naturalnie nawet dwuwarstwowy, szpiczasty i pod, dosłownie pod ostatnią częścią dachu, tą małą i wąską, zbudowali jakąś platformę. I na tej platformie się ukrywaliśmy.

To akurat pamiętam dosyć dobrze, nawet więcej niż dosyć, bo kiedy zaczynała się akcja, to wyglądało w ten sposób, że Niemcy zamykali ulice z dwóch stron, żeby nikt nie mógł umknąć, i wtedy zaczynali, jak to się nazywało wtedy „grabić”, tak jak się grabi liście zgniłe. Grabić i zbliżać się do siebie; więc ponieważ oni zaczęli już iść, ojciec wziął mnie za rękę i mamę objął ramieniem. A mama urodziła w getcie w tych strasznych warunkach dziecko, to był chłopczyk i mama była chora na tyfus. Lonek był chory na tyfus plamisty, a mama na brzuszny i chorą na tyfus z niemowlęciem ojciec prowadził na dach, po schodach drewnianych i ja też naturalnie prowadzona przez ojca szłam na górę. Nigdy tam nie byłam, więc z jednej strony ciekawość, z drugiej strony strach, bo już wiedziałam, co znaczy śmierć i strzały, które się słyszało na ulicy. I weszliśmy tam po drabinie, pod dach. Tam już leżeli jacyś ludzie, wszyscy przykryci słomą, a przed nimi, to znaczy bliżej wejścia, była kurtyna z liści tabaki. Liście tabakowe są duże i ścina się je jeszcze, nim wyschną, ażeby się równomiernie suszyły, są wieszane na sznurach i z dwóch stron dachu, a dach był otwarty, był przewiew, który te liście suszył. Za taką kurtyną z liści, na górce, pod dachem myśmy byli ukryci, przykryci słomą. Nie wolno się było ruszyć, żeby nie szeleściło, i to pamiętam. Byłam przytulona do ojca, gdy w pewnym momencie usłyszeliśmy kroki na schodach drewnianych, ciężkie i szybkie. Wpadł na to poddasze, kiedy my już byliśmy na górce, Żyd, który wiedział o tym miejscu, ale nie wiedział, gdzie tu się wchodzi, a za nim Niemiec i strzelił do niego, ale go od razu nie zabił, zostawił, żeby krzyczał, żeby się może przyznał, żeby może się coś od niego dowiedzieć. Niemiec zrobił sobie rundkę naokoło, nie zobaczył nas, ale w tym momencie z niewiadomych powodów mój mały braciszek zapłakał, a to znaczyło koniec dla wszystkich, którzy są tam na górce. W związku z tym ktoś z rodziców, nie wiem kto, uciszył dziecko ręką. Niemiec pokręcił się i wyszedł. Przedtem zastrzelił tego Żyda tak zwanym strzałem łaski, zabił tego krzyczącego nieszczęśnika i wyszedł. A myśmy zostali do rana na górce pod dachem. Kiedy rano schodziliśmy, już nie było braciszka i mama powiedziała, że w nocy babcia, czyli babcia Anna, przyszła i wzięła braciszka, bo jej sąsiadka ma krowę i dzięki temu będzie mleko dla dziecka. Nie bardzo w to uwierzyłam, nie wiem dlaczego, ale już miałam wtedy pięć lat. Nie wiem, po prostu, nie wiem, dlaczego dla mnie to było niemożliwe, że babcia była na górce, że weszła po drabinie, i w dodatku nie pocałowała mnie, nie zbudziła... Nigdy o to nie pytałam mamy ani słowem. Mama myślała, że tego nie wiem, lecz przed wyjazdem z Polski w '57 roku

byliśmy u sędziego, który wypisywał dokumenty mojej mamie jako wdowie i mnie, tzn. musieliśmy mieć jakieś dokumenty, które potem składało się w Warszawie. W każdym razie sędzia zapytał, dlaczego mamusia, taka młoda kobieta, ma zupełnie białe włosy. Ja mówię: no wie Pan, moja mama przeszła śmierć męża, z bliska widziała i przeszła śmierć synka. To jest dostateczny powód, żeby włosy posiwiały. On mówi: tak, ale przecież mama nic nie mówiła o synku. Ja mówię: tak, bo mama o tym nigdy nie mówi. Ale w każdym razie zawsze miałam jakąś szczelinę, jakąś niepewność, gdzie był brat, ale wiedziałam, że miał na imię Henio i że był niemowlakiem, że mama, gdy szła na górę, miała to niemowlę, a jak schodziliśmy, to już go nie było. W każdym razie tak zginął mój braciszek. Śmierć podwójna, bo śmierć faktyczna, i śmierć inna jeszcze, bo się nigdy o nim nie mówiło. Czyli on umarł pod każdym względem, nawet w pamięci, mojej nie, mama też na pewno go pamiętała, tylko nigdy nie wolno było go wspominać. Bo mama mówiła, że dostaje bicia serca, a nie chciałam, żeby miała kłopoty.

**[MD] Jak to się stało, że wyszliście z getta, czyli znaleźliście się w piwnicy pana Dwolińskiego?**

**[MKL]** Faktem jest, że kiedy ta wielka czystka jeszcze się nie skończyła w getcie, jeszcze tam zostało trochę ludzi, mój ojciec umówił się z kimś z Polaków, którzy razem z nim budowali drogi. Nazywał się Niedźwiedź i tego, czy to było nazwisko, czy był taki grubas, że nazwali go Niedźwiedź, nie wiem. Nic o tym nie wiem. On naprawdę był sprawiedliwym, bo zaryzykował, żeby przyjechać furą, furmanką – przepraszam. Przyjechać furmanką, wieźć nas przez miasto na drugą stronę to był hałas i to była niepewność, i pewna śmierć. To znaczy jeśli jakiś Niemiec będzie na ulicy i to zobaczy, to zastrzeli nas wszystkich razem z nim. A on to jednak tu zrobił, nie wiem, czy za darmo, ale zrobił i dowiózł nas do Buczacza<sup>5</sup>, a z Buczacza przejechaliśmy do młyna pana Dwolińskiego.

**[MD] Dlaczego pan Dwoliński was przyjął, czy to było umówione?**

**[MKL]** Widocznie było umówione, ale tam u niego już były dwie osoby, tak to wyglądało. Pan Dwoliński był młynarzem, a ponieważ był handel wymienny, to jemu się nie płaciło za mielenie zboża, tylko się przynosiło worek buraków albo worek kartofli, albo worek zboża. Magazyn znajdował się w piwnicy i on ten magazyn zmniejszył, zbudował drewnianą ścianę, za którą myśmy byli ukryci. Drewnianą ścianę, która odcięła kawałek piwnicy z małym okienkiem, takim nie do otwierania. I tam za tą drewnianą ścianą myśmy byli, musiał tam być jakiś otwór, który został zasłonięty workami, bo jakoś on przychodził do nas. A czekaj, nie, on przychodził przez drabinę, nie, nie. W każdym razie to była oddzielona część piwnicy, mała oklejona gliną ze wszystkich stron podłoga, ściany, a sufit był drewniany, bo sufit był też podłogą kuchni, ale żeby nie było słyhać, to był

<sup>5</sup> Buczacz – w II Rzeczypospolitej miasto powiatowe w województwie tarnopolskim. 60 procent z 7517 (w 1929 r.) mieszkańców stanowili Żydzi.



obsmarowany też gliną i podparty w środku jednym wielkim słupem z czterema odgałęzieniami, tak, żeby była jakaś wspórka na ten słup. W każdym razie było ciemno, było duszno, sześć osób oddychało i nie tylko oddychało. Myśliśmy się za zasłoną, było też wiadro na odchody, które pan Dwoliński bohatersko wynosił co noc, bo ubikacja była na zewnątrz, poza domem, drewniany budynek, z sercem jak należy. Więc on wynosił to co noc, a później jego syn. Wyobraźcie sobie, że to było mało przyjemne i dosyć ryzykowne, bo jak jakiś sąsiad poczuje te aromaty, to będzie wiedział, że Dwoliński wynosi wiadra. A przecież wszyscy chodzą do tej ubikacji, nawet jak jest deszcz i nawet jak pada śnieg. Czyli on nie tylko wynosił te aromaty, ale w dodatku narażał się i jednak robił to przez dłuższy czas, prawie rok. Pan Dwoliński był uroczy, to był Polak żonaty z Ukrainką i z dwójką dzieci.

My trwaliśmy na dole. Moja mama oddalała mnie od rzeczywistości w sposób genialny, może dlatego wyrosłam na optymistkę, bo mama tworzyła jakieś wspaniałe światy, w których mówiła piękną polszczyzną, była nauczycielką, umiała zrobić ze mną figurki z gliny i nadawać im życie, tzn. nazwisko, imię, królowny na ogół. W każdym razie miałam wspaniałe towarzystwo królewiczów, królowny, królewskie ogrody, mówiące zwierzęta, to wszystko mama tworzyła z fantazji i mi przekazywała. Tak, że naprawdę budziłam się zamiast w strachu to z ciekawością, bo mama dalszy ciąg snuła swych opowieści. To była wspaniała rzecz, dlatego że dziecko rosło prawie normalne i w dodatku jeszcze wszyscy czytali stare gazety, które były trzymane w piwnicy do celów higienicznych. I wszyscy czytali te kawałki gazet, a ja nie mogłam czytać, bo nie umiałam. Poszłam do mamy z pretenjami: jesteś nauczycielką, naucz mnie czytać. A mama powiedziała: nie, bo skończy się wojna, pójdziesz do pierwszej klasy, będziesz siedziała i nudziła się, nie ma mowy. W jakiś sposób przekazała mi, że będę żyła po wojnie. I czekałam na pierwszą klasę, a nie na koniec wojny, to była duża rzecz!

**[MD] Powiedz, dlaczego wyszliście z piwnicy Dwolińskiego, co się stało?**

**[MKL]** Ktoś, to znaczy dokładnie wiadomo kto, w sąsiednim młynie, czyli młynie położonym wyżej, bo to był młyn wodą poruszany (wyżej był ukrywany Żyd) naskarżył. Niemcy przyszli, znaleźli tego Żyda i zapytali, czy wie, gdzie są Żydzi, powiedział, że nie wie. Przyłożyli mu tzw. przekonywacz do skroni i powiedzieli: jak powiesz nam prawdę, to cię wypuścimy do lasu. I on powiedział, że w sąsiednim młynie, nie wie ile osób, ale są jacyś Żydzi. Oni go wypuścili do lasu, powiedzieli: biegnij do lasu, no i z tyłu „zwolnili” go absolutnie. Czyli radośnie biegł do życia, a został zabity, nawet nie wiedział, kiedy zginął. Piękna śmierć. I nazajutrz Niemcy zjawili się w młynie. Postawili rodzinę Dwolińskich pod ścianą i wszystkich pytali, czy są tu Żydzi. A jak doszli do małej Janeczki, to Janeczka powiedziała: no jak to, nie ma u nas, tatuś powiedział, że nie wolno chować Żydów. Niemiec powiedział: a może chcesz zegarek, ja ci dam mój zegarek, słyszysz, jak tyka? A Janeczka rezolutna powiedziała: my nie potrzebujemy

zegarka, bo u nas jest ksiądz, ksiądz ma zegarek, bo musi dzwonić na modlitwy. Ale my nie potrzebujemy, jest światło, wstajemy, jest noc, idziemy spać. Niemiec nie dowiedział się niczego, zezłościł się i w tym momencie stało się coś, czego nie potrafię, nie będąc człowiekiem religijnym, wyjaśnić, bo ten oficer kazał żołnierzowi stuknąć kolbą w podłogę. Jeśli będzie echo, to znaczy, że tam jest jeszcze jakaś przestrzeń. A jeśli nie będzie, to znaczy, że to jest na kamiennym gruncie zbudowane. Kazał mu stukać w podłogę i on stuknął w ten słup, który był w środku piwnicy. Teoria względności czy jakakolwiek tego nie wyjaśni. Gdybym była wierzącą, to bym powiedziała „palec Boży”, ale nie jestem wierzącą i nie wiem, jak to się stało. Miałyśmy szczęście, a Niemcy doszli do wniosku, że nie ma tam nic więcej, i odeszli.

Ale wieczorem, już w nocy pan Dwoliński nas zawołał i powiedział, że jak zobaczył swoje dziecko, a przed nim żołnierza z karabinem wycelowanym w to dziecko, to niestety nie może nas dłużej chować i musimy młyn opuścić. Zaprzągnął konie i wywiózł nas daleko, aż pod Buczacz, w lasy, i później wędrowaliśmy lasami. W jakimś momencie ojciec spotkał leśnika, który obiecał, że nas przechowa. Widocznie zawiadomił kogo trzeba, bo nazajutrz, wczesnym ranem myśmy przyszli do tej leśniczówki, ojciec nas położył w krzakach, chyba agrestu, w każdym razie już były liście, to był kwiecień. Gdy położył nas w tych krzakach, sam zapukał do drzwi, drzwi się otworzyły, wyskoczył Niemiec, ojciec zaczął uciekać, strzelił w niego z niewielkiej odległości i od nas, i od domu – i jednym strzałem go położył. Moja mama chciała wyjść, żeby nas skończyli, bo nie miała odwagi żyć dalej, ale ja się strasznie bałam, że to boli, że śmierć boli, i płakałam cichutecznie, że śmierć boli, że ja się boję. A że boli, to wiedziałam już tam na poddaszu, widząc tego krzyczącego z bólu człowieka, więc błagałam, żeby nie wychodzić i nie wyszłyśmy aż do nocy. W nocy odeszliśmy z tego miejsca i zaczęłyśmy wędrowkę po lasach.

**[MD] Był kwiecień, Miro, jak wyście żyły w tym lesie, było zimno?**

**[MKL]** Było głodno i nie miałyśmy ciepłego ubrania, to pierwsze. Wcześniej codziennie rano ojciec chował nas, to znaczy budował szałas, ta misja cały czas była, żeby budować życie absolutnie inne, więc budował go, kiedy przykrywał nas gałęziami. Budował szałas, najczęściej pod sosnami, bo gałęzie opadają, i szedł zdobyć jakieś jedzenie. Trudno wtedy było, czasem się na polach znajdowało jakieś kartofle, które zostały trochę przemrożone, czasem na drzewach jakieś owoce przemrożone, a przede wszystkim czasem spotykał ludzi pracujących gdzieś tam, dawali mu kromkę chleba i w ten sposób dosyć długo trwaliśmy. A kiedy potem już ojca nie było, wędrowaliśmy i mama już nie wchodziła do wsi, tylko starała się znaleźć coś do jedzenia. Z szyszek wyciągała ziarenka, głód w tym momencie był potworny, ale ponieważ ona budowała tę swoją rzeczywistość, to jak na przykład słyhać było szelest i się bałam, to mama mówiła wtedy: A to na pewno sarenka chce przyjść do ciebie i porozmawiać. No popatrz tutaj,

popatrz się tam – i ja zapominałam. Albo: Widzisz, to na pewno wiewiórka jest tu albo jakiś zajączek i chcą z tobą rozmawiać, bo widzisz, że chcą się z tobą bawić. Na tę metodę brała mnie przez całą wędrówkę, ale jednak byliśmy głodne, zmarnięte i postanowiła, że wychodzimy z lasu. I wyszliśmy z lasu do najbliższej wsi Puźniki<sup>6</sup>, tam moja mama zapukała do drzwi bardzo starej, ubogiej chatki, chylącej się, jej słoma już prawie dotykała ziemi. Otworzyła kobieta, powiedziała: gość w dom, Bóg w dom i nas zaprowadziła do wnętrza. Mała, biedna chata, to znaczy kuchnia, która była pokojem i sypialnią, i wszystkim. Przy stole drewnianym z grubego drzewa siedziała para dzieci, dziewczynka była mniej więcej dziesięcioletnia, a chłopiec był o wiele starszy, chyba 14, 15 lat. On mnie absolutnie lekceważył, a dziewczynka, Czesia, stała się moją koleżanką, uczyła mnie różnych rzeczy, na przykład kraść papierówki od sąsiadów albo z ich grządek wyciągać marchewki. Takie różne, bardzo pożyteczne rzeczy.

**[MD] Jak znalazłyście się w tej wsi? Co zrobiła pani Antonina, że tam zaistniałyście?**

**[MKL]** Moja mama naturalnie uczciwie wszystko opowiedziała pierwszego dnia po tej nocy wreszcie spanej w ciepłe i wśród ludzi, bo noc spędziłyśmy na sianie, które ona wyciągała spod ławy, rozpościerała, na tym kładła weretę, nie wiem, czy wiecie Państwo, co to? To takie lniane prześcieradło, grube i ciężkie, kładła je na słomie i na tym my wszyscy pokotem spaliśmy. Cudownie ciepło, jeszcze piec się palił. Naprawdę to była boska noc, niezapomniana, a jeszcze przedtem dzieci klękały się modlić, a ja, a jakże, byłam wyuczona modlitw, ja Marysia Kowalik, bo mama mnie uczyła w lesie. Marysia Kowalik modliła się tak jak wszyscy, tylko trochę bardziej, bo chowała nos w ręce, czyli bardzo nisko się chyliła, modląc. Nazajutrz rano moja mama chciała odejść, a pani Antonina powiedziała: No wie pani, gdzie pani będzie z dzieckiem chodzić, tu pełno jest Niemców. Nie, tego nie powiedziała, tylko: tu jest niebezpiecznie. Mama powiedziała: Tak, ale nie mam jak się zrewanżować, a pani jest i tak trudno. A ona: starczy na czterech, to i starczy na pięć. W bardzo sposób zdecydowany. I od tej pory myśmy mieszkały we wsi jako żona oficera znajdującego się w niewoli, chyba Kowalika, nie pamiętam jego imienia. W każdym razie żona oficera, dziecko naturalnie polskie, myśmy się znalazły w Puźnikach, bo Buczacz był bombardowany i przez Niemców, i przez Rosjan. I to jest prawda. Myśmy uciekły w ostatniej chwili przed bombami, dlatego nie mamy nic do ubrania, i dlatego w ogóle zostałyśmy bez dokumentów i bez niczego.

Tak znaleźliśmy się w Puźnikach, a pani Działoszyńska poszła do księdza i załatwiła nam dokumenty. Każdy normalnie myślący zobaczyłby, że to są nowe papiery, ale jednak miałyśmy coś w ręku. Czyli jesteśmy Adela Kowalik i Marysia Kowalik, do usług.

<sup>6</sup> Puźniki – wieś w województwie tarnopolskim, w okolicach Tłumacza.

**[MD] Ale chodziliście w tej wsi do kościoła?**

**[MKL]** No jasne, też pytanie.

**[MD] Pytam, jak was akceptowała wieś?...**

**[MKL]** Myśmy były podane, że jesteśmy dalekimi krewnymi jej nieżyjącego męża, pochodzącymi z Buczacza. Tylko myśmy już wystartowały wysoko, bo moja mama jest nauczycielką, więc było wiadome, że mama uczy tych dwoje dzieci pani Działoszyńskiej, albo wieczorami robi piękne swetry, prując stare, jako że miała złote ręce.

**[MD] Miro, wojna się kończy, wychodzicie z Puźnik, znajdujecie się w Monasterzyskach<sup>7</sup>, mama tam trochę uczy, ale...**

**[MKL]** Nie trochę, uczy pierwszy rok w życiu, wiecie, co to za święto było, że mama uczy! Była szczęśliwa, myśmy nie miały ani w co się ubrać, ani co jeść. Pensja była niska, a moja mama była szczęśliwa, że wreszcie, wreszcie uczy dzieci. Miała trzecią klasę, a ja byłam w pierwszej w tej samej szkole i też szczęśliwa, że wreszcie uczę się czytać. Błyskawicznie nauczyłam się czytać i czytałam wszystko, co było, także niemieckie napisy.

**[MD] Przychodzi kolejny rok, czyli repatriacja, musicie wracać do Polski.**

**[MKL]** Tak, rok szkolny 1944/1945 robiłam w Monasterzyskach. Było jeszcze ciekawiej, gdyż moja mama przed wejściem do getta zostawiła pelisę, tzn. płaszcz ojca podbity futrem, i maszynę do szycia u sąsiadów. A ponieważ było u nas strasznie biednie, to mama powiedziała, że idzie po te rzeczy do Tłumacza i wtedy wszyscy Żydzi z okolicy wrzeszczeli: no wiesz, Adelka, chcesz osierocić dziecko, nie dość, że nie ma ojca, to jeszcze nie będzie miało matki. A moja mama pojechała bohaterko jakąś furą do Tłumacza i przywiozła maszynę do szycia i pelisę ojca. Na rynku sprzedała futro, a płaszcz został, mój ojciec miał blisko metr dziewięćdziesiąt. Wyobraźcie sobie, jak moja mama chodzi w tym płaszczu do ziemi. Maszynę sprzedała i kupiła chleb, który wysuszyła, i masło, które przetopila. I całą drogę w wagonach, a to trwało chyba z miesiąc, jedliśmy te suchary z masłem. Odwaga niebywała, ja bym się na pewno na to nie zdobyła.

**[MD] Pomińmy pewien okres, odeślemy Państwa do Twoich opowiadań. Potem znalazłyście się w Jeleniej Górze, następnie we Wrocławiu, lecz mama już nie uczyła?**

**[MKL]** Mama nie uczyła prócz tego roku. W Jeleniej Górze, gdzie ciągle napływała ludność polska z Ukrainy, chciała uczyć. Mama była pełna nadziei, że skoro teraz otwiera się tyle szkół w Jeleniej Górze, to będzie szansa, że będzie uczyła. Poszła do inspektora, a inspektor powiedział: No, wie pani, nie jest jeszcze tak źle, żeby Żydówka uczyła polskie dzieci. Moja mama, grzecznie

<sup>7</sup> Monasterzyska – miasto w powiecie buczackim w województwie tarnopolskim II Rzeczypospolitej.

wychowana przez babcię i jej siostrę z Notre Dame, podziękowała za czas jej poświęcony i rozplakała się dopiero po drugiej stronie drzwi. Tak się skończyła jej kariera nauczycielska. Czyli nie uczyła, pracowała w biurze.

**[MD]** Sama miałas też różne incydenty, o których piszesz w książce, między innymi w opowiadaniu *Koleżanka*. Ale przychodzi rok 1957, jesteś na pierwszym roku polonistyki...

**[MKL]** Na drugim, pierwszy sama zaliczyłam.

**[MD]** Co takiego się stało, że decydujecie się wtedy na wyjazd?

**[MKL]** No wiecie, to też jest w książce. Siedziałam i pisałam pracę seminaryjną w bibliotece Ossolińskich, podszedł do mnie goguś z drugiego, nie trzeciego czy czwartego roku, taki słynny bawidamek, zresztą urodziwy. Podchodzi i proponuje, że się spotkamy i pójdziemy do kina, a ja powiedziałam: nie dziękuję, nie reflektuję. Tej bezczelności on nie znał, żeby ktoś mu tak odpowiedział. Jak zaczął wrzeszczeć na Żydówę, parszywą Żydówę i inne takie. A w bibliotece nikt się nie podniósł i go nie uciszył, bo zawsze, jak były jakieś incydenty, to znalazł się ktoś, kto to zmiękczył, coś ratował. W pierwszej klasie był Lesio. Jak dzieci krzyczały na mnie Żydowa i pluły, to Lesio mnie pocałował, i był to, powiedzmy, jakiś ratunek albo lekarstwo. Potem w siódmej klasie, kiedy katechotka się do mnie dobrała, to Jacek mnie ratował, mój przyjaciel do teraz, a tam w bibliotece nikt... Byłam sama i ten napastliwy szczekacz, to było coś strasznego, spłakałam się, ma się rozumieć, odniosłam książki do sekretariatu i wyszłam cała płacząca. Nikt, przez cały ten czas, nikt do mnie nie podszedł, nikt nie próbował pocieszyć albo uspokoić.

Szłam tak drogą z Ossolineum do rynku, bo tam była 7, autobus, który jechał na Krzyki<sup>8</sup>, gdzie mieszkaliśmy. Przyszła 7, ale wstydziłam się zapłakana wsiąść, więc jakoś tak kierując się mądrością ludową, zaczęłam iść wzdłuż tej linii, pewna że wsiądę na następnym i jeszcze na następnym przystanku i tak w międzyczasie się uspokoiłam, co było rzeczywiście cudem. Przyszłam do domu i powiedziałam: mamusiu jedziemy, a mama powiedziała: może ty, bo ja nie. Jej brat będący już w Izraelu, lotnik, który tam był, ten przystojniaczek, napisał, że w wieku 40 lat nie zaczyna się życia na nowo. Bał się, że spadniemy mu na kark, a więc mama powiedziała, że ona nie jedzie. Lecz ja mówię: to dobrze, pojedę sama. – No i co tam będziesz sama robić? Powiedziałam: pójdę do kibucu, bo wiedziałam, że taka rzecz istnieje. Wiadomo, że moja mama dziecka by nie zostawiła, choć dziecko już miało 19 lat.

To było w lutym, a 14 marca jechałyśmy już do Szczecina, a ze Szczecina do Le Havre'u, a z Le Havre'u<sup>9</sup> zaplombowanymi wagonami, żeby Żydzi nie zostawali we Francji, do Marsylii, przez całą Francję. Pamiętajcie, że Francuzi byli

<sup>8</sup> Krzyki – dzielnica Wrocławia powstała 12 lutego 1952 r.

<sup>9</sup> Le Havre – port w północnej Francji nad Atlantykiem.

tak szlachetni, że zaplombowali wagony, z zewnątrz. Jechaliśmy aż do Marsylii, a z Marsylii przewieźli nas do przepięknego pałacu, gdzie była jedna ubikacja na wszystkich piętrach, i jedna jeszcze dla służby na parterze. Więc wszyscy biegali odwiedzać rododendrony, a w oknach pojawiły się większe ilości kiełbasy krakowskiej. Ociekający w tym ciepłe tłuszczycy spływał pięknie po oknach na dół, grzech, po pięknych oknach z pięknymi firanami. Kiełbasa krakowska się pocila i topniała i te zapachy były nie do przezwyciężenia. Straszne, w każdym razie jedzenie było wtedy jeszcze gorsze, bo to był Pesach, czyli Wielkanoc żydowska. Maca i jajko na twardo i – żebyście się śmiali – polskie skumbrie w tomacie, dorsz. Cały czas to było nasze jedzenie: skumbrie, jaja, maca, wyobrażacie sobie, jakie były kolejki do toalety.

**[MD] Miro, będziemy zmierzać ku końcowi, bo chciałabym dać Państwu jeszcze szansę zadania Ci pytań. Powiedz, przyplłynęście do Izraela, dobytku właściwie nie było, ale przyplłynęło z Wami pianino, to jest też osobna historia. Jak Ty się w tym nowym kraju znalazłaś? To było trudne doświadczenie?**

**[MKL]** To było strasznie trudne, to jest w ogóle nie do opowiedzenia. Byłam w domu wychowana, w głęboko polskim domu, gdzie literatura, muzyka, piosenki, przyroda. Przede wszystkim moja mama miała dużą wrażliwość i to jeszcze w lesie w czasie wędrówek pogłębiała ją we mnie, wszystko to było polskie. Nie miałam pojęcia o żydostwie, mogę wam nawet powiedzieć, że jak udostępnili w pewnym momencie encyklopedię Trzaski, Everta<sup>10</sup>, która była przedtem na indeksie, to moja koleżanka otworzyła tak przez przypadek słowo *obrzezanie* i pyta się: Miśka, tak całkiem? A ja mówię: chyba nie całkiem, skoro żyje. Przychodzę do domu i mówię: mamusiu, a co to jest obrzezanie, a moja mama: a po co ci to? Powiedziałam: Trzaska, Evert i tyle, mama wytłumaczyła, potem ja wytłumaczyłam Hance. Mijały lata, przyjechała tutaj do Izraela, była nad morzem, pławiła się w gorącej wodzie i nagle wyskakuje z wody, wrzeszczy: wiem, wiem! Pytam, co wiesz? – No, jak wygląda to przyrodzenie po obrzezaniu. Ona musiała wiele, wiele lat pamiętać to pytanie.

**[MD] Miro, ale Ty miałaś 19 lat, mama miała 40, to jednak trochę była różnica. Jak Ty się zaczęłaś, a jak ona zaczęła się odnajdować w Izraelu?**

**[MKL]** Moja mama w młodości chciała jechać do Izraela i być pionierką. Zmarł ojciec i wszystko się skończyło. Wtedy mama zaczęła się uczyć hebrajskiego. Już na statku „umierając”, między jednym a drugim rzygankiem, wracała do hebrajskiego, bo dostała jakąś książeczkę. Myśmy były tydzień u brata mamy i potem wynajęły pokój, mama mieszkała w pokoju. Od rana do wieczora uczyła się, a uczyła się nie tak jak ja, po łebkach, tu i tam, tylko mama była cholernie solidna.

<sup>10</sup> Chodzi o pięciotomową *Ilustrowaną encyklopedię Trzaski, Everta i Michalskiego*, wydaną w Warszawie w latach 1926–1928.

Książki po hebrajsku czytała przede mną. Byłam w kibucu od 21 maja, 4 godziny pracy fizycznej, 4 godziny nauki, a potem wkuwanie. Te upały, które wtedy były... klimatyzacji nie było w całym kibucu, nigdzie. Myśmy sępywali potem i uczyli się. Po 7 miesiącach poszłam do wojska. Jeszcze muszę coś dodać, co was pewno ubawi, to znaczy jestem zarozumiała... Musiałam zrobić egzamin psychotechniczny, żeby wiedzieli, jaki jest poziom mojej inteligencji. A to było w sierpniu, czyli po trzech miesiącach, więc nie rozumiałam żadnego pytania. Ta przewodniczka, która prowadziła egzamin, mówi: *next, next*, następny, następny. I wyszło, że jestem klasycznym deparem. Depar to jest opóźniony w rozwoju, inteligencja do 42 punktów. Czyli byłam absolutnie nieinteligentna, rekrucki okres skończyłam wspaniale, bo w Polsce odbyłam przygotowanie wojskowe i naturalnie umiałam na ślepo złożyć i rozłożyć magazynek. Nie rozumiejąc niczego, byłam naprawdę świetna i okres rekrucki zrobiłam z wyróżnieniem. Dostałam się potem do Tel Awiwu, bo pytali, co chcesz robić, a ja powiedziałam, że chcę do Tel Awiwu, bo muszę zdawać egzaminy z przedmiotów hebrajskich, żeby uznali mi maturę. No i, kochani, mieli problem, co zrobić z taką opóźnioną, z jednej strony czołówka wśród rekrutów, a z drugiej strony niedorozwinięta. Więc wsadzili mnie do szekemu, czyli kantyny. Któregoś dnia przyniosłam sobie opowiadanie Maupassanta, i czytałam, bo nie było nikogo. Wpada oficer, widzi tego wąsatego faceta na okładce i krzyczy: to w wojsku też musisz Stalina czytać?! A ja mówię: to nie jest Stalin, to jest Maupassant. Coś ty powiedziała, Maupassant? – No tak, to jest ten francuski pisarz, ale to na pewno nie Stalin – powiedziałam. W związku z tym przenieśli mnie do innego miejsca, a w innym miejscu okazało się, że jestem niepewna. Dlatego, że z Polski, że byłam w ZMP, napisałam to uczciwie, no więc wykurzyli mnie stamtąd. I metodą izraelską wojskową kopa w d..., lecis do góry. Poleciałam i byłam naprawdę na wysokim stanowisku, pracowałam tam do 31 grudnia 1959 roku. W cudownej atmosferze, znając wszystkie sekrety różnych najwyższych oficerów i największe sekrety wojskowe. Wyobrażacie sobie, jak to pięknie, kiedy depar stała się główną sekretarką czterech wielkich działów wojskowych w dowództwie.

**[MD] Miro kochana, teraz tak....**

**[MKL]** Znadto się rozgadałam, wiem, że to problem.

**[MD] Muszę dać jeszcze szansę na to pytanie: byłaś Herminą, byłaś Marysią, zostałaś Miriam.**

**[MKL]** Na statku powiedzieli: Maria, co ty jesteś katoliczką? A ja mówię: nie. Miriam zapisali, imię piękne.

**[MD] A w końcu stałaś się Mirą i to w dodatku Ledowską, Bronek to jest naprawdę druga historia, jeszcze kiedyś na pewno ją Państwo przeczytacie. Natomiast powiedz mi jeszcze na koniec: właściwie gdybyś miała określić swoją tożsamość, to kim Ty się czujesz?**

**[MKL]** Podwójna. Przez długi czas, to znaczy aż do '87 roku, '89, kiedy uczyłam hebrajskiego na próbnym lektoracie we Wrocławiu na uniwersytecie, czułam

się tak, że jestem jednak Polką w Izraelu. Wtedy, kiedy przyjechałam uczyć hebrajskiego na tym samym uniwersytecie, z którego wyfrunęłam, coś się we mnie przełamało, poczułam się Izraelką. W '94 roku jestem na trasie martyrologicznej z młodzieżą i zaczynam opowiadać o ludziach, którzy nas ratowali, bo to było moim najważniejszym celem. Usprawiedliwiam się, że mam polski akcent. I wyobrażcie sobie, że po takim spotkaniu podchodzi do mnie smarkacz z XI klasy, czyli rok przed maturą, i mówi tak: Mira, a co ty tak wiecznie się usprawiedliwiasz, nam się podoba to, jak mówisz i to, co mówisz, i nie usprawiedliwiaj się, że masz polski akcent, bo to nam się podoba. Wiecie, żeby facet w tym wieku miał mnie wychowywać, to się nie spodziewałam, ale przekreślił śrubkę. Od tego czasu czuję się jednym i drugim, mam podwójne obywatelstwo duchowe.

Jeśli chodzi o kulturę, przeważa kultura polska, niewątpliwie, chociaż zrobiłam wszystko, żeby wejść głębiej tutaj, studiowałam Biblię, studiowałam literaturę hebrajską, znam dobrze przyrodę, krajobraz, zwyczaje, a nawet religię, bo musiałam ją też studiować, nie uprawiać. W każdym razie naprawdę kocham konwalie bardziej niż anemony. Bo tutaj pustynia zakwita po deszczach w pola czerwonych anemonów, coś fantastycznego! Ale moje serce bije w kierunku konwalii. Jak je dostałam w tym roku, byłam po prostu w chmurach, a potem jeszcze Ewa przywozła bez, to już w ogóle... Kocham Izrael, ale o wiele bardziej w każdym odcieniu polską kulturę i przyrodę.

**[MD] Miro, nie powiem, że jesteście naszym skarbem narodowym, bo trochę mamy polityczne zawirowania, ale powiem, że jesteście naszym skarbem. Naprawdę kochamy Cię bardzo, dodam w swoim imieniu i w innych: cudownie jest z Tobą rozmawiać. Pytania, czy ktoś z Państwa chciałby o coś zapytać?**

**[MKL]** A ja tego nie widzę, za to oni widzą te wszystkie zmarszczki cholerne.

**[MD]** Może jakieś pytanie do Miry, może młodzież o coś zapyta? To tutaj zaprosimy, żebyś widziała.

**[MKL]** No pewno, bo rzeczywiście nie widzę sali, nie widzę niczego, ale widzę ciebie, no to nie jest takie najgorsze...

**[MD]** Dziękuję, naprawdę to mile.

**[Violetta Wejs-Milewska]<sup>11</sup>** To była cudowna opowieść, trochę mi przypominała też opowieści mojej mamy. I strasznie Pani dziękuję za nią! Chciałam zapytać o jedną rzecz. Z tej opowieści Pani wynikało, że jest Pani ambasadorem Polski w świecie. Chciałam się zapytać...

**[MKL]** Tak, tak, Pani ma rację, bo na kursach polskiego uczyć prócz języka także historii, wszyscy uwielbiają Szymborską.

**[VW-M]** Te opowieści Pani o tym, ile osób Pani pomagało, jak ratowało, to jest dla Polski bardzo dobra robota...

<sup>11</sup> Violetta Wejs-Milewska – prof., literaturoznawczyni, badaczka polskiej emigracji niepodległościowej w XX w.



[MKL] Od dawna to robię.

[VW-M] **I teraz chciałabym zapytać, czy Pani została odznaczona jakimś polskim odznaczeniem państwowym?**

[MKL] Wie Pani, całe życie nie należałam do tych, których odznaczają, nigdy niczego nie dostałam. Nigdy nie dostałam żadnego orderu z wyjątkiem Lublina. W Lublinie dostałam tak zwany medal przyjaciół miasta. Ale to nie o to chodzi, byłam 36 lat nauczycielką, nieskromnie powiem, że robiłam bardzo ciekawe projekty, bo po prostu mnie to interesowało, nie dlatego, że chciałam być taka dobra. Robiłam różne ciekawe rzeczy, choć nigdy żadnego wyróżnienia nie dostałam. Pracuję 20 lat w Instytucie Polskim, kupa ludzi przeszła przez moje ręce, nawet paru profesorów. Wiele rzeczy przekazuję prócz języka, dlatego że to jest we mnie, to nie jest kwestia nabyta i uważam, że jeśli ktoś ma znać język polski, to musi także wiedzieć o muzyce, o poezji, o literaturze, o przyrodzie. Emilia Plater, ho-ho, wojsko w Izraelu, dziewczyny służą w wojsku, więc pani Emilia Plater<sup>12</sup> jest w sam raz na czas. Naprawdę jestem rzecznikiem polskiej kultury, jak najbardziej, ale orderu nigdy nie dostałam i nie sądzę, że dostanę, bo po prostu robię swoje. Róbmy swoje, to Młynarski.

[VW-M] **Dziękuję, ja myślę, że to należy nadrobić.**

[MKL] Eee tam...

[VW-M] **Myślałam w tej chwili o panu Mosbergu<sup>13</sup>, który został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Działał on podobnie jak Pani i miał też podobne historie, nie wstydził się o nich mówić. To bardzo ważna rzecz, którą Pani robi, i myślę, że za każdą pracę należy się zapłata. Możemy po prostu próbować Pani podziękować!**

[MKL] Róbcie, co chcecie. Mój kolega z Instytutu powiedział, że jak się nie płaci, to nie jest nic warte. A spotkania z młodzieżą są moim zdaniem tego warte. To nie chodzi o zapłatę, chodzi o przyjemność.

[MD] **Miro, dziękujemy Ci za tę przyjemność, to była przyjemność z Tobą dzisiaj rozmawiać. Ściskamy Cię mocno, pozdrawiamy!**

[MKL] Przyda się, przyda.

[MD] **Przyda się i do zobaczenia!**

[MKL] Hej, duża buźka, pozdrowienia dla wszystkich z pięknego Tel Awiwu, z kupy zieleni i słoneczników!

[MD] **Dziękujemy, do zobaczenia.**

[MKL] Do zobaczenia.

<sup>12</sup> Emilia Plater (1806–1831) – hrabianka, bohaterka powstania listopadowego, kapitan wojska polskiego.

<sup>13</sup> Edward Mosberg (1926–2022) – ocalały z Zagłady. Odznaczony za „wybitne zasługi w rozwijaniu polsko-żydowskiego dialogu, za upowszechnianie wiedzy o roli Polaków w ratowaniu Żydów”.

## ANEKS

Hermina

Misia

Marysia

Miriam

Mira

Krum

Kowalik

Krum-Ledowski



Dziadek Henryk Herman Hartenstein



Babcia Anna z d. Haber



#### Misiunia

Z kolekcji zdjęć fotografa Kapanowskiego z Tłumacza.  
Przekazane po wojnie rodzinie



Z kolekcji zdjęć fotografa Kapanowskiego z Tłumacza.  
Przekazane po wojnie rodzinie



U babci Anny w ogrodzie



Pierwszy przyjaciel – Lux.  
Pierwsza ofiara Niemców w rodzinie

**Jelenia Góra (1945–1948)**  
**Wrocław (1948–1957)**



Z Bożenką Warnecką. (Opowiadanie *Koleżanka*)



Marysia z mamą Adą w Jeleniej Górze  
naprzeciw domu przy ul. Kącik 1



Marysia z mamą Adą w Jeleniej Górze



Marysia z mamą Adą w Jeleniej Górze



W Jeleniej Górze przed domem.  
Narty od Romka



Wycieczka do Pilichowic



Marysia w VI klasie, Wrocław 1955



Zdjęcie maturalne 1955



Ukochany brat Mamy – Romek. Kompania akademicka (po lewej)  
i marynarka wojenna (po prawej)



Tuż przed wyjazdem z Polski  
Park Południowy we Wrocławiu, 1957



## IZRAEL



Adela Krum



Miriam. Pierwsze lata w Izraelu



Młodszy brat Mamy Maks Hartenstein  
vel Karol Zawadzki vel Karol Zevadi.  
Lotnik w pierwszej eskadrze Izraela



Miriam Krum w wojsku izraelskim





Miriam Krum w wojsku izraelskim. W tle Hajfa



Na plaży w Tel Awiwie



Nauczycielka Miriam. Pierwszy rok pracy w szkole



Nauczyciela Miriam. Purim w klasie



Uroczystość „Pierwszy elementarz”



Piąta klasa. Tel Awiw



Na wycieczce szkolnej



Przygotowania do Chanuki



Wycieczka na Synaj, 1968



Nad morzem w Jafie



Mirka ze „swatką” Kasią Rożen



Podróż poślubna. „I on się jeszcze uśmiecha?”



W podróży poślubnej. Sierpień 1973



Ada z Romkiem i Mirą podczas jego jedynej wizyty w Izraelu, 1981



W „raju utraconym”, czyli w zamykanej księgarni Neusteinów. Allenby 84, 2007.

Miejsce pierwszej randki państwa Ledowskich w 1970

## Powroty



Przed domem przy ul. Januszewickiej 15  
we Wrocławiu, 31 VII 2022



**Mira Krum-Ledowska**

*Tel-Aviv*

**Małgorzata Domagalska**

*Department of Positivist and Young Poland Literature*

*University of Łódź*

**FATE. MIRA KRUM-LEDOWSKA INTERVIEWED  
BY MAŁGORZATA DOMAGALSKA**

**Summary**

The text is a transcript of a conversation conducted by Prof. Małgorzata Domagalska of the University of Łódź with Mrs. Mira Krum-Ledowska, who was saved as a child from the Holocaust in the southeastern lands of the Second Polish Republic. The interview was conducted online with the survivor (who now resides in Tel Aviv) during the 12<sup>th</sup> Conference of the series “Jews in Eastern Poland,” Białystok, June 5, 2023. The protagonist of the conversation talks about her family living in Tłumacz and Buczacz in the former Tarnopol province, about hiding and the help they were given, about post-war anti-Semitic excesses as a result of which she emigrated to Israel with her mother in 1957 (her father died shot by a German).

**Keywords:** Mira Krum-Ledowska, Holocaust, escape, Tłumacz, hiding, emigration.